

- Autor: Jaworowski Roman
- Tytuł: Ostatnia wersja śledcza
- Wydawnictwo: MON
- Seria: Labirynt
- Rok wydania: 1983
- Nakład: 150000
- Recenzent: [Grażyna Głogowska](#)
- Recenzja: 146/2009



Złowieszczy urok spekulacji

Książeczka mikra, wydrukowana na cienkim, gazetowym a teraz już mocno pożółkłym papierze. W środku rozpacz - druk wielkości ziarenek maku, literki prawie pozbawione tuszu. Momentami tekst zanika i pojawiają się białe plamy. Bez silnego światła i lupy nie do odczytania. Książeczka wydana w 1982 roku, kiedy to na sklepowych półkach królował ocet spirytusowy.

Kryzys gospodarczy jest istotnym, przewijającym się motywem w powieści.

I tak oto najlepszy oficer śledczy Wojciech Grażycki przez całe, rozciągnięte w czasie śledztwo wygląda tak samo - "Ubrany zwykle w spłowiałe dżinsy, zbyt duży sweter, na pierwszy rzut oka robił wrażenie przerośniętego dziecka." Jego zmiennik ma też tylko jedno ubranie - szarą marynarkę. Nie ma mowy o żadnych charakteryzacjach czy przebierankach by uśpić czujność obserwowanych.

Są to czasy, kiedy termin "przedsiębiorczy" był synonimem spekulanta i kanciarza.

Państwo Wiesława i Brunon Kapczykowie, właściciele zajazdu "Cześnik", gdzie został zastrzelony wicedyrektor "Plantolu" Dariusz Gronowski, już na samym początku przesłuchania muszą się tłumaczyć kapitanowi Przedborskiemu skąd pochodzą materiały budowlane i czy posiadają faktury na serwowany alkohol. "Poproszę o kwit ostatniego odbioru alkoholu - powiedział z szerokim, niewinnym uśmiechem."

Państwo Kapczykowie byli architektami. Uskładali, uciulali dość pieniędzy na zagranicznych kontraktach, gdzie prowadzili budowy. Dla nich kryzys to doskonały moment aby dorobić się na gastronomii. Rachunek za obiad wynosił więcej niż tygodniowy zarobek zwykłego mieszkańca miasta. Oczywiście kombinują - legalnie zakupiony alkohol odsprzedają niejakiemu Feliksowi Łotewce ale pozostaje pytanie - co w takim razie sprzedawali klientom?

Dwaj bandyci o ksywkach Rybka i Gęgoł napadają na starsze osoby. Wyrwywają im siatki z

zakupami - często wystane w długich kolejkach wiktuały, kradną biżuterię. Okradzeni skarżą się przede wszystkim na to, że razem z portmonetkami zginęły kartki żywnościowe, bez których bardzo ciężko przeżyć. Pytają retorycznie: "Co ja teraz będę jeść?"

Przed sklepami wiły się długie kolejki. Czasami obok siebie była kolejka po piwo i po chleb. Po piwo stali mężczyźni a po chleb czekały kobiety.

Kryzys najwidoczniej nie dotknął przemysłu tytoniowego. Pali większość bohaterów. Przepelnione popielniczki towarzyszą naradom milicjantów. Padają nazwy popularnych wyrobów - klubowe, karmeny (moja ciocia jest przekonana, że paliła "carmeny") i zefiry. Śledczy rozpytujący potencjalnych świadków ustawionych w kolejce po piwo szerokim gestem częstuje papierosami.

Wojnę nałogowi wydała sekretarka pułkownika - pani Katarzyna. Rzuciła zgubny nałóg i teraz każdemu przyłapanemu w sekretariacie palaczowi z zapalonym papierosem wymownie wskazywała skarbonkę PCK. Nawet jej szef nie miał taryfy umownej - za każde wynurzenie się ze swojego gabinetu z zapaloną fajką uiszcza karę. Czasami próbuje się targować o ilość wpadek... Bo pułkownik Rokosz pali fajkę. Ma cały zestaw fajek. W zależności od tego, którą wybierze i jak będzie ją pykał podwładni wróżą pomyślność śledztwa.

"Rokosz bez pośpiechu wyciągnął rękę w kierunku stolika, gdzie między ciasno stłoczonymi aparatami telefonicznymi był stojak z fajkami. Bez wahania wyłowił największą z nich. No tak, pomyślał Andrzej, rzecz wygląda coraz gorzej. Wiedział z doświadczenia, że wybór największej fajki, zwanej przez podwładnych Rokosza "saksofonem", wróży długą rozmowę na skomplikowane tematy. Następne słowa pułkownika dowiodły słuszności tych przypuszczeń."

Na zakończenie śledztwa tradycyjnie odbywa się spotkanie przy serniku całej ekipy. Sernik tradycyjnie piecze pani Katarzyna. "Tym razem bez bakalii. Nic na to nie poradzę: kryzys - tłumaczyła się sekretarka pułkownikowi stawiając swe dzieło na stole - Miałam tylko trochę rodzynek ze starych zapasów."

I kto za te braki odpowiada? Ta niepozorna książeczka zwięźle i bez pozostawienia cienia złudzeń wskazuje na CIA. Milicjanci są doskonale zapoznani ze szczegółami gry wywiadowczej w wymiarze globalnym. Nieobce są im ściśle tajne rewelacje źródła alfa prim: "według którego wywiad jednego z państw NATO stara się spenetrować nasz przemysł tłuszczowy (...) a ściśle Zakłady Tłuszczowe numer pięć".

Jest to fragment większego planu przywrócenia budżetu CIA, drastycznie okrojonego po kompromitacji w Iranie a także podreperowania prestiżu agencji oraz zwiększenia ilości etatów. I tak za wielką polityką stoją małe, biurokratyczne intrygi.

Plan polegał na tym, że agencja przewidzi kryzys... który sama po kryjomu wywoła. Przeżywająca przejściowe trudności Polska świetnie się do tego planu nadawała. Wystarczyło wniknąć do zakładów produkujących żywność, podstępem dotrzeć do ich tajnych dokumentów aby zdeorganizować rynek spożywczy. A doprowadzeni do stanu wygłodzenia obywatele skoczą sobie do gardeł.

Działania były podwójnie niegodziwe, bo zwerbowani agenci otrzymywali wynagrodzenie w fałszywych dolarach.

Nie wiem, czy to przypadek czy autor miał prorocze wizje:
Zamawiający dwie kaczki giną marnie.

Delegat z prowincji, magazynier ze wsi Karwusy na Podlasiu, przyjeżdża do stolicy aby zjeść kosztowny obiad na koszt publiczny i zabawić się z prostytutką. Z daleka widać jego przekrzywiony krawat w intensywne pasy.